

Pięć Sów – Początek

Wojciech Horzowski

Ciemny Las

Przemierzaliśmy pogrążony w ciemnościach las. Trwająca od wielu godzin ulewa uniemożliwiła nam rozpalenie pochodni. Woda spływająca po naszych twarzach utrudniała widzenie, a nasiąknięte nią ubrania ciążyły jeszcze bardziej. Wyczerpani z trudem stawialiśmy każdy kolejny krok. Szliśmy więc, nie wiedząc, co nas czeka. A szliśmy we czterech, choć było nas pięciu.

Nasz umiłowany przywódca, Witomir, leżał nieprzytomny na prowizorycznych noszach. Zrobiliśmy je z dwóch niezbyt równych, aczkolwiek wystarczająco grubych gałęzi oraz krowiej skóry rozpiętej między nimi. Trzymałem je z trudem tylko jedną dłonią, gdyż drugą broniłem się przed pędami krzaków uderzającymi mnie w twarz. Wędrowaliśmy od wielu godzin, szukając kogokolwiek, kto mógłby uzdrowić dowódcę. Spojrzałem na ledwie widoczne sylwetki moich towarzyszy.

Z przodu po prawej szedł Dobrociech – potężny wojownik. Mierzył ponad dwa metry wzrostu. Jego długie czarne włosy sięgały mu niemal do pasa. Na czole nosił miedzianą opaskę, która nie pozwalała kosmykom zasłonić twarzy. Broda, choć już nie tak długa, była równie imponująca. Jako jedyny z nas nie nosił żadnej zbroi. Wychodzące znad barków dwa skórzane pasy przecinały się na środku klatki piersiowej. Na plecach wisiała duża tarcza z

Wojciech Horzowski

różnorakimi symbolami. Miał też szeroki pas, na którym wisiał sztylet oraz kilka woreczków z jemu tylko znaną zawartością. Spod niego wystawał pagon w czarnym kolorze z czerwonymi elementami. Dobrociech szedł boso, niewzruszony, mimo iż w prawej dłoni trzymał jeszcze swój dwuręczny miecz.

– Skąd on bierze na to wszystko siłę? Zawsze mówił, że bóg jest z nim. Może to właśnie on daje mu moc? – pomyślałem, po czym spojrzałem na kolejnego towarzysza.

Po lewej, obok Dobrociecha, kroki stawiał jego najlepszy przyjaciel, Derwan. Wojownik o przeciętnej posturze, ścięty na krótko, z kilkudniowym zarostem – zupełne przeciwieństwo swojego kompana. Nosił biały, pikowany kaftan sięgający mu do kolan. Na nim była długa kolczuga, która dodatkowo chroniła szyję oraz brązowy pas spinający to wszystko na wysokości tułowia. Całość okrywała biała peleryna z wyszytym wielkim czerwonym krzyżem. Dodatkową ochronę zapewniały mu stalowe naramienniki oraz karwasze, spod których wychodziły zdobione rękawice. Przy pasie przypięty miał sztylet. Na plecach nosił łuk oraz kołczan wypełniony strzałami, które uderzały o siebie przy każdym kroku. Derwan znany był ze swoich niesamowicie wyostrzonych zmysłów.

Obok mnie szedł Radowit – wiekowy, lecz bardzo doświadczony wojownik. Widać to było nie tylko po licznych zmarszczkach na jego sędziwej twarzy, lecz także po wyłysiałym szczycie głowy. Pozostałości długich włosów opadały mu na ramiona i podobnie jak broda, zlewały się kolorem z jego stalowym

pancerzem. Walczył na długo zanim ja przyszedłem na świat. Jego zbroja płytowa miała dziesiątki śladów od uderzeń. Metalowe elementy ochraniające nogi były wybrakowane, pordzewiałe w wielu miejscach. Przy każdym kroku stukał o nie wiszący przy pasie krótki miecz, który także miał swoje lata. Radowit uważany był za ostoję mądrości. Nasz umiłowany dowódca często prosił go o rady.

– Dobrze, że ktoś taki jest w naszej drużynie. Jego doświadczenie nie raz nas uratowało i pewnie jeszcze nie raz uratuje – pomyślałem.

I ja, Domarad, najmłodszy z nas. Ubrany w szarą tunikę, związaną rzemykowym pasem w talii. Czarne spodnie, które podobnie jak koszula przed niczym mnie nie chroniły. Tylko buty miałem inne, skórzane, wygodne. To było najcenniejsze, co posiadałem. Dostałem je od ojca przed pójściem na wojnę. Przy biodrach dyndała mi jeszcze pusta pochwa, po mieczu zgubionym podczas bitwy.

– Mój widok to dla mnie hańba – pomyślałem. Na domiar złego każdy stawiany przeze mnie krok był coraz bardziej chwiejny. Lecz mimo zmęczenia parłem do przodu. Miałem nadzieję, że dane mi będzie to wszystko przetrwać. Niespodziewanie dojrzałem coś po lewej stronie.

– Światło! – zawołałem, przekrzykując stukot deszczu.

Moi towarzysze od razu się zatrzymali.

– Faktycznie, coś tam jest. Zaczekajcie tu. Pójdę to sprawdzić – powiedział głośno Derwan. Dobrociech wbił miecz w ziemię, po czym złapał nosze w miejscu trzymanym przez kompana.

Po kilkunastu minutach słuchania szumu wody lejącej się z nieba, zwiadowca wrócił.

– To jakaś stara chata. Wygląda na to, że chwilowo nikogo w niej nie ma, ale jest dach, pod którym można się schronić.

– Zatem idziemy. Może właściciel wkrótce wróci i będzie nam w stanie pomóc – rozkazał Radowit.

Dobrociech wyciągnął z ziemi wbity miecz, a Derwan ponownie złapał za nosze. Ruszyliśmy w stronę światła. Otaczające nas zarośla zaczęły się przeredzać, aż w końcu wyszliśmy na niewielką polanę. Chata zbudowana z ciemnego drewna była ledwie widoczna na tle pogrążonego w mrokach lasu. Dostrzegłem jednak spadzisty dach, który podparty dwiema solidnymi belkami tworzył ganek. Na froncie znajdowały się drzwi, obok których wisiała paląca się lampa. Było tam też niewielkie okno, lecz panował w nim mrok.

– Przynajmniej nie będziemy już mokli – pomyślałem.

– Chodźmy pod ganek, przynajmniej nie będziemy już mokli – krzyknął Radowit. Ja tylko się uśmiechnąłem.

Podeszliśmy pod drzwi, obok których położyliśmy nosze. Jak tylko uwolniłem prawą rękę od ucisku, poczułem krótki, przeszywający ból. Podeszedłem pod lampę, by nieco lepiej przyjrzeć się dłoni. Była zadrapana, krwawiła, lecz wszechobecna

woda utrzymywała rany w czystości. Odwróciłem się więc w stronę moich kompanów. Mogłem w końcu zobaczyć Witomira. Radowit już przy nim klęczał. Pozostali stali obok bez słowa.

– Nasz umiłowany dowódca – powiedziałem.

Miał zaczesane do tyłu srebrne włosy oraz krótką brodę z długim wąsem. Piękna, pełna zbroja płytowa, przebita była tkwiącym w brzuchu fragmentem włóczni. Mimo, iż był nieprzytomny, ciągle zaciskał dłoń na rękojeści swojego miecza. Nigdy się z nim nie rozstawał. Twarz emanowała nienaturalnym spokojem, nie zdradzając najmniejszych śladów bólu. Witomir to człowiek o dużych zdolnościach przywódczych oraz wielkiej charyzmie. Jego obecny stan napawał mnie smutkiem. Podeszedłem blisko i nachyliłem się nad noszami.

– Radowicie, czy on...? – zapytałem.

– Nie, ciągle żyje. I módlmy się, żeby tak pozostało.

– Do Boga Jahwe – powiedział Derwan.

– I do Peruna – dodał Dobrociech.

Ja nic nie powiedziałem. Wcześniej do nikogo się nie modliłem.

Niespodziewanie usłyszeliśmy głośnie skrzypienie drzwi, które zaczęły się otwierać. Wszyscy odwróciliśmy się w ich stronę. Każdy z moich kompanów odruchowo położył dłoń na rękojeści sztyletu lub miecza. Ja też tak zrobiłem, lecz w moim przypadku

pochwa była pusta, co po raz kolejny napawało mnie wstydem. Odsunąłem się więc nieco.

– Mówiłeś, że nikogo nie ma – powiedział Dobrociech, spoglądając podejrzliwie na Derwana.

Patrzyliśmy na wejście, gdy z ciemności wyłonił się staruszek. Nosił szarą togę. W prawej dłoni trzymał wysoki kostur. Miał długą, siwą brodę, która sięgała mu do pasa, mimo iż jego głowa była zupełnie pozbawiona włosów. Przypominał braciszka z nieznanego mi dotąd zakonu.

– Wejdźcie do środka – powiedział, po czym otworzył drzwi na oścież. Panująca wewnątrz ciemność zaczęła ustępować światłu od zapalanych przez niego jedną po drugiej świec.

– Wchodzimy do środka – rozkazał Radowit.

– Dobrociech i Derwan złapali nosze po obu stronach, po czym położyli Witomira na podłodze wewnątrz budynku. Radowit, który wszedł ostatni, zamknął za nami drzwi. A ja? Otulony ciepłem pomieszczenia, niemal od razu opadłem z sił. Ugięły mi się kolana. Na szczęście złapał mnie Radowit i pomógł mi delikatnie usiąść na podłodze na prawo od wejścia. Wzięłem głęboki oddech.

– Wszystko z tobą dobrze, wojowniku? – zapytał Dobrociech. On jako jedyny, zawsze traktował mnie poważnie. Nigdy nie dawał mi do zrozumienia, że jestem najslabszym ogniwem drużyny. To cenilem w nim najbardziej. Lecz zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć odezwał się Radowit.

– Jest zmęczony. Musi jedynie odpocząć.

– Tak, muszę tylko trochę odpocząć – dodałem cicho.

Miałem teraz chwilę, by przyjrzeć się nieco wnętrzu. Domek miał około czterdziestu kroków długości i mniej więcej tyle samo szerokości. Zrobiony z grubych pni drzew, ułożonych jeden na drugim. Nie miał poddasza. Widać było spad dachu ponad grubą belką biegnącą wzdłuż. Podłoga także była drewniana. Na lewo od wejścia stało niewielkie pojedyncze łóżko, przykryte niebieskim materiałem, naprzeciwko którego był kominek z bujanym fotelem obok. Na prawo stały regały, a między nimi biurko. Na blacie leżał kałamarz, pióro oraz kilka pustych pergaminów. Otaczające go półki ugięły się od książek, kamieni pokrytych dziwnymi symbolami oraz buteleczek pełnych różnokolorowych cieczy.

– Szanowny panie. Wracamy z bitwy, która rozegrała się nieopodal. Nasz dowódca Witomir został ciężko ranny. Szukamy medyka lub znachora – powiedział Radowit.

Starzec wręczył mu swój kostur.

– Zobaczę, co mogę zrobić.

Dopiero teraz zauważyłem coś dziwnego. Na jego końcu znajdował się niebieski kryształ wielkości kurzego jaja. Małe gałązki wyrastające z wierzchołka laski oplatały minerał, utrzymując go na miejscu. On sam przyklęknął nad rannym. Delikatnie odpiął fragment zbroi i rozdarł zakrwawione ubranie. Zobaczyłem jak z brzucha Witomira wystaje grot złamanej włóczni. Mędrzec złapał za jej koniec i wyciągnął powolnym ruchem. Z rany zaczęła sączyć się

Wojciech Horzowski

ciemnoczerwona krew. Znachor podniósł się, sięgnął do regałów i odłożył na nią fragment włóczni. Rozejrzał się po poszczególnych półkach i wziął jedną ze szklanych buteleczek, w której zafalował czerwony płyn. Wrócił nad dowódcę. Gdy odkorkował naczynie, Dobrociech złapał go za rękę.

– Co robisz? – zapytał stanowczo.

– Ratuję mu życie.

Dobrociech wodził wzrokiem po twarzach towarzyszy, rozważając za i przeciw.

– Pozwól mu robić swoje. My już nie zdołamy mu pomóc – powiedział Radowit.

Dobrociech cofnął dłoń. Starzec ponownie przykląkł. Wylał fiolkę na ranę Witomira. Tajemnicza substancja wpłynęła do wnętrza rany. Wsparłem się na łokciach, by się nieco lepiej przyjrzeć. Po chwili w ranie pojawił się silny błysk. Gdy światło zniknęło, moi towarzysze rozglądali się w różne strony.

– Nic nie widzę! Co się do cholery dzieje?! – zapytał zaniepokojony Derwan.

– To chwilowe, zaraz odzyskacie wzrok – powiedział starzec.

Ja nie zostałem oślepiony. Podniosłem się więc i spojrzałem na dowódcę. Głęboka rana zasklepiła się na moich oczach. Starzec odwrócił wzrok w moją stronę ze zmarszczonymi brwiami, po czym sięgnął po kawałek materiału i przykrył ranę Witomira.

– Odzyskałem wzrok – powiedział Dobrociech.

– Ja też – dodał Derwan.

– Ja także – powiedział Radowit, spoglądając na mnie.

– Ja również wszystko już widzę – powiedziałem, nie zdradzając przy tym, że nie zostałem oślepiony.

Starzec bez słowa zgarnął ze stołu butelkę z wodą i bochenek chleba. Następnie podszedł do Radowita.

– Weźcie to. Najbliższą wieś znajdziecie kilka kilometrów stąd. Musicie iść w lewo od wyjścia z chaty. Na pewno traficie. A teraz zostawcie mnie samego. Mam pracę do wykonania – powiedział.

– Słyszeliście. Nie możemy nadużywać gościny. Idziemy! – rozkazał Radowit. Złapaliśmy za nosze i ruszyliśmy w kierunku wskazanym przez starca. Na zewnątrz ciągle padało, lecz już nie tak mocno, jak wcześniej. Dwie godziny później w końcu udało nam się wyjść z lasu. Zobaczyliśmy słabe światło w oddali.

– To pewnie cel naszej podróży – pomyślałem.

– To pewnie wioska, o której mówił starzec. Cel naszej podróży – powiedział Radowit.

– Muszę chyba częściej mówić, co myślę – przyszło mi do głowy.

Mimo deszczu, marsz po trawie był błahostką, w porównaniu do przeprawy przez las. Miałem nadzieję, że nasz trud

wkrótce się skończy i wszyscy będziemy mogli wrócić do swoich domów. W końcu dotarliśmy na miejsce. Zobaczyłem zadaszoną pochodnię palącą się pomiędzy zabudowaniami. To były proste kamienne domy, z dachami pokrytymi strzechą. Każdy z nich posiadał drewniane drzwi oraz niewielkie okno. Nie byłem w stanie zobaczyć, ile budynków jest w oddali, gdyż światło pochodni ujawniało jedynie trzy najbliższe.

– Domaradzie, idź zapytaj, czy przyjmą nas na noc – rozkazał Radowit.

Przetarłem zmokniętą twarz. Podeszedłem pod drzwi środkowej chaty i zapukałem. Otworzył mi człowiek trzymający w ręku pochodnię. Miał czarne, niezbyt długie włosy oraz gęstą, aczkolwiek krótką brodę. Ubrany był w szarą koszulę i czarne materiałowe spodnie. Przypominał mi jednego z mieszkańców mojej wioski.

– Jesteśmy żołnierzami. Mamy rannego. Szukamy schronienia na noc – zacząłem mówić.

Nieznajomy zamknął drzwi. Już miałem odejść, gdy te ponownie się otworzyły. Jegomość wyszedł z dziwną pochodnią w ręku. Miała zrobiony z metalu daszek, który trzymał się drewnianej gałęzi niczym pająk siedzący na ofierze. Ale dzięki temu paliła się nawet podczas deszczu.

– Sprytne – pomyślałem.

Razem podeszliśmy do noszy. Gospodarz spojrzał podejrzliwie na rannego dowódcę, potem kolejno na moich Wojciech Horzowski

towarzyszy. Pewnie chciał wywnioskować, jakie mamy zamiary. Nic nie mówiąc odwrócił się, wskazał nam jeden z budynków, po czym sam ruszył w jego stronę.

– O nic nie zapytał? Dziwne – pomyślałem.

Na miejscu stanął przed drzwiami budynku. Wręczył mi pochodnię. Sam wyjął pęk kluczy. Wybrał jeden z nich i otworzył nim grubą kłódkę, by następnie zdjąć niewielki rygiel. Zrobione z kilku pozbijanych grubych desek drzwi puściły.

Nieznajomy, spoglądając na mnie, kiwnął głową i ruszył z powrotem do swojej izby.

– Dziękuję ci, panie – odpowiedziałem, gdy usta Radowita już się otwierały. Gospodarz nic nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił.

A my? My weszliśmy do środka.

Wewnątrz było pusto. Położyliśmy delikatnie nosze na ubitej ziemi przy jednej ze ścian. Dobrociech, Derwan oraz Radowit ułożyli się gdzieś po kątach. Szybko zasnęli. Usiadłem obok Witomira, opierając się o ścianę. Jeszcze chwilę patrzyłem na jego spokojny oddech, by po chwili samemu zapaść w sen.

Nowy Dzień

– Wstawaj. Wstawaj! – zbudził mnie głos.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem stojącego przede mną Witomira. Wyglądał na całkowicie zdrowego. Nie miał na sobie zbroi, mogłem więc zobaczyć, że po jego ranie nie było śladu.

Podniosłem się najszybciej, jak to możliwe, by się uklonić.

– Nasz umiłowany dowódca. Panie, dobrze cię widzieć w pełnym zdrowiu – powiedziałem z nieukrywanym entuzjazmem.

– Zobacz Domaradzie, rana po włóchni całkowicie zniknęła. Radowit powiedział, że dzielnie się spisałeś. On zawsze miał dobrą rękę do ludzi. A ja niezmiennie polegałem na jego intuicji. I tym razem także się nie zawiodłem – powiedział Witomir, kładąc jednocześnie dłoń na moim ramieniu. – Dziękuję ci Domaradzie.

Jego słowa były jak miód na moje serce.

– To ja dziękuję, panie. To był zaszczyt walczyć u twego boku.

– Potwierdzam, Domarad dawał z siebie więcej, niż powinien – powiedział Dobrociech.

Dowódca odwrócił się. Urwał i wręczył mi kawałek chleba z bochenka trzymanego przez Radowita. Ja, głodny, od razu łąpczywie wziąłem kęs, by za chwilę zawstydzony powiedzieć:

– Panie, przepraszam za zuchwałość. Nie jadłem od dawna.

– Nie przejmuj się, Domaradzie. Najedz się do syta i odpocznij jeszcze chwilę. Zaraz wyruszamy. Musimy znaleźć starca,

który uratował mi życie. Muszę się dowiedzieć, co mi zrobił. Chcę mu także osobiście podziękować.

Usiadłem na chwilę na ziemi, by dokończyć posiłek. Radowit podał mi miskę pełną rześkiej wody. Witomir z pomocą Domarada włożył zbroję, po czym wszyscy wyszli, zostawiając mnie samego.

– Ostatnie miesiące były dla mnie ciągłą walką. Walką z wrogiem, walką o przetrwanie, aż w końcu walką o życie naszego dowódcy. A teraz mogę wreszcie odpocząć – pomyślałem. Wziąłem głęboki oddech. Poczulem ogromną ulgę, że to wszystko ma szansę się wkrótce zakończyć. Zamknąłem na chwilę oczy. Moje myśli skierowały się na wydarzenia z ostatniej nocy. Ten starzec. Kim on był? Jak uzdrowił Witomira? I ten czerwony płyn, który wlał prosto do rany? To musiały być jakieś czary. Nie jestem pewien, czy powinniśmy tam wracać – pomyślałem.

W końcu zorientowałem się, że wszyscy na mnie czekają. Wyszedłem więc na zewnątrz, gdzie otoczyła mnie gęsta mgła. Niebo ukryło się za nią całkowicie. Widziałem ledwie kilka kroków do przodu. Nie dostrzegłem moich kompanów. Mając nadzieję, że stoją dalej, ruszyłem przed siebie, gdy usłyszałem wołanie.

– Domarad!

Spojrzałem za siebie. Zobaczyłem Radowita, Dobrociecha i Derwana stojącego za boczną ścianą budynku, w którym nocowaliśmy. Podeszedłem do nich i razem udaliśmy się na tyły chaty, gdzie mleczna zasłona ukazała mi fragmenty kolejnych domów.

– Czyli mieszka tu więcej ludzi – powiedziałem do moich towarzyszy.

– Być może. Dziś jednak nikogo nie spotkałiśmy – odpowiedział Dobrociech.

– Gdzie jest Witomir? – zapytałem, wypatrując go wzrokiem.

– Poszedł szukać człowieka, który dał nam schronienie. Nie było go w domu – dodał Radowit.

Zza jednego z ledwie widocznych budynków wyłonił się Witomir.

– Nikogo tu nie ma – powiedział, gdy był zaledwie kilka kroków od nas.

– Jak to nie ma? – zapytał zdziwiony Radowit.

– Sprawdziłem domy za mną. Wszystkie puste i pozbawione mebli. Jakby nikt w nich nie mieszkał.

– Przedziwne – powiedziałem.

– To samo sobie pomyślałem – powiedział Radowit. Ja delikatnie się uśmiechnąłem.

– Dobra. Może pracują w polu gdzieś nieopodal. Podziękujemy im kiedy indziej. Teraz idziemy do starca – rozkazał Witomir.

Wróciliśmy przed budynek, gdzie stała pochodnia, po czym ruszyliśmy z powrotem do lasu. Nie widzieliśmy dalej niż na

dwadzieścia kroków. Mimo to znalezienie drogi nie sprawiło nam problemów – Derwan nigdy nie mylił kierunków.

Po kilkudziesięciu minutach las zgęstniał. Nad naszymi głowami ukazały się korony wysokich drzew, które odcięły resztki światła. Zapanował niepokojący półmrok. Moje obawy rosły z każdą chwilą.

– Mam wrażenie, że w tym lesie jest coś niepokojącego – powiedział Radowit.

– Przesadzasz Radowicie. Jest pochmurnie, mglisto, nic więc dziwnego, że las wydaje się złowrogi. Raz to przemierzałeś gęstwinę w takich warunkach? – zapytał uśmiechnięty Derwan.

– Zgadzam się z Radowitem – powiedział wielkolud.

– A ty co myślisz, młody? – zapytał Witomir.

– Myślę, że całe to miejsce jest niepokojące. Milczący gospodarz, puste domy, brak mieszkańców. I ten starzec z lasu. Zastanawiałaś się, panie, jak on cię wyleczył? Po twojej ranie nie ma śladu. To musiały być jakieś czary – mówiłem, stawiając kolejne kroki.

– Tego właśnie próbujemy dociec.

– Być może są rzeczy, których nie warto dociekać.

– Domarad ma rację. Nie powinniśmy tam wracać – poparł mnie Radowit.

– Musimy go znaleźć. Ja muszę wiedzieć, jak on to zrobił.

Idziemy!

Rozkaz to rozkaz.

Na szczęście tego dnia nie padał deszcz, a my byliśmy wypoczęci. Wobec tego marsz przebiegał całkiem sprawnie. Niemniej gęstwina pozbawiona dostępu światła nie pozwalała dostrzec niczego w oddali. Szliśmy w milczeniu, ponownie zdani na Derwana, gdy po około dwóch godzinach drogi odezwał się Radowit.

– Zgubiliśmy się. Już powinniśmy być na miejscu.

– Derwanie, może pomyliłeś kierunek? – zapytał dowódca.

– Niemożliwe! Ja nie mylę kierunków. Po prostu jeszcze nie dotarliśmy na miejsce – odpowiedział łucznik z pełną stanowczością.

– Dobrociechu. Co ty o tym myślisz? – zapytał Witomir. Wielkolud szedł z przodu. Przystanął. Spojrzał na nas.

– Tam coś na nas czeka. Nie wiem co, ale boję się tego – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył dalej.

– Co ty mówisz!? Nie ma takich ludzi, których się boisz – powiedział Derwan, podbiegając do niego.

– Żołnierze wroga? – dopytał Witomir.

– Coś nie z tego świata – odpowiedział Dobrociech.

– Nie z tego świata? Masz na myśli demona? – dopytywał Derwan.

– Koniec rozmowy – przerwał dowódca, rozdzielając idących obok siebie kompanów.

– Nawet jeśli się zgubiliśmy, to z każdego lasu w końcu musi być wyjście.

– Obyś miał rację, obyś miał rację – dodał cicho idący za nimi Radowit. Ja szedłem tuż za nim, w milczeniu.

I tak minęły kolejne godziny. Sam nie wiem ile, straciłem rachubę. Ta pustka. Las, który nie ma końca. Próbowałem to sobie jakoś racjonalnie wyjaśnić.

Może my wszyscy nie żyjemy? – pomyślałem. Oblał mnie zimny pot, gdy dotarły do mnie moje własne słowa.

– Stoimy w miejscu! – powiedziałem głośno.

Wszyscy się zatrzymali. Odwrócili wzrok w moją stronę.

– Domarad ma rację – powiedział Dobrociech.

– W miejscu? Przecież idziemy. Cały czas w jednym kierunku. Jak to wyjaśnisz? – zapytał Derwan.

– Nigdy nie słyszałem o tak niepokojącym miejscu jak to, w którym jesteśmy – wtrącił Radowit.

– Ja słyszałem – powiedziałem, choć nie byłem pewny, czy chcę się tym dzielić.

– Gdzie? – zapytał dowódca.

– Opuszczona wioska, w której nie ma ludzi. Pusty, nie mający końca las. Zupełnie jak nasza niekończąca się wędrówka... – powiedziałem, spoglądając na Dobrociecha.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy martwi? – odparł wielkolud.

– A nasze dusze błążą się po czyścicu, by odpokutować za grzechy? – dodał zszokowany Derwan.

– Możliwe. Możliwe, że wszystko, co wydarzyło się od momentu, gdy wędrawaliśmy nocą w lesie, nie jest już naszym życiem – powiedział Radowit.

– Przestańcie wymyślać niestworzone rzeczy! Dzieje się tu coś dziwnego, ale jestem pewien, że wszystko da się wyjaśnić. Idziemy dalej! To rozkaz. Nie zatrzymujcie się. Zobaczycie, jeszcze chwila i będziemy na miejscu – powiedział Witomir.

Ruszyliśmy więc. Kilkadziesiąt minut później dotarliśmy do zarośli tak gęstych, że nie sposób było dostrzec, co jest za nimi. Dobrociech musiał wyrębać nam przez nie drogę. W końcu przeszliśmy na drugą stronę.

Dwa Kamienie

Weszliśmy na polanę otoczoną drzewami, których długie gałęzie splatały się nad nami, tworząc szczelną kopułę. Na jej środku stały dwa masywne, pionowo wbite w ziemię płaskie kamienie,

wysokie na kilka metrów, o nieregularnym, poszarpanym obrysie. Podeszliśmy do nich.

Na frontowych stronach obu monumentów wyryty był dziwny znak otoczony mniejszymi runami.

– To symbol Peruna. A to Welesa – powiedział Dobrociech, wskazując najpierw na jeden, potem na drugi głaz.

– Czy potrafisz odczytać pomniejszych runy? – zapytałem. Dobrociech zaczął się zastanawiać.

– Tak... Na pierwszym jest napisane "Brama do Perunii", na drugim "Wrota Welesa".

– To pewnie jakiś święty gaj – powiedział Radowit.

– Miejsce pogańskiego kultu – dodał Derwan, z niewielką dozą pogardy.

– Odpocznijemy tu chwilę. Dobrociechu, rozpal niewielkie ognisko. Najlepiej między tymi kamieniami – rozkazał Witomir.

Już mieliśmy odetchnąć, gdy jeden z kamieni zaczął się trząść. Towarzyszyły temu niepokojące dźwięki. Jakby krzyki dochodzące z oddali.

Zdezorientowani, wycofaliśmy się na skraj polany.

Runy wyryte na kamieniu Welesa zaczęły jarzyć się czerwonym światłem, jedna po drugiej. Wrzaski były coraz głośniejsze.

– Co się tu dzieje, na Boga! – krzyknął Witomir.
Wojciech Horzowski

Kiedy zapaliła się ostatnia runa, środkowy symbol błysnął jasnoczerwonym światłem, a wrzawa ustała.

– Psia mać! Znowu nic nie widzę! Nic nie widzę! – krzyknął spanikowany Derwan.

– Spokojnie, to pewnie chwilowe – powiedział głośno Radowit.

Jednak mój wzrok pozostał nienaruszony. Widziałem, jak na kamieniu pojawił się falujący obraz. Przedstawiał spaloną, czarną ziemię z czerwonym złowrogim niebem.

Chwilę później moi towarzysze odzyskali wzrok. Spojrzeliśmy po sobie, przeczuwając najgorsze.

– Domaradzie. Zwalniam cię ze służby. Możesz odejść. Teraz! Nim będzie za późno! – krzyknął Witomir.

Odmawiam panie! Zostaję! – odpowiedziałem. Witomir spojrział na mnie, potem na resztę kompanów. Wszyscy kiwnęli głowami. Wielkolud wyjął swój sztylet, złapał go za ostrze i skierował w moim kierunku.

– Weź Domaradzie. Będzie ci potrzebny.

Zacisnąłem pięść na rękojeści.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

Falująca lustrzana powierzchnia rozlała się na cały kamień. Wtedy zobaczyłem, jak wychodzi z niej gargulec. Wysoki na metr diabełek o szarym kolorze, z kłami wystającymi z pyska,

niewielkimi rogami oraz błoniastymi skrzydłami. Jedynie jego oczy świeciły się na czerwono.

– Widzieliście!?! Wyszedł prosto z kamienia! – krzyknął Derwan.

– Uspokój się żołnierzu! Uspokój się! – wrzasnął stanowczo Witomir.

– Piekło zeszło do nas na ziemię – dodał głośno Radowit.

– A my odesłamy je z powrotem. Żołnierze! Do broni! – krzyknął dowódca.

– Tu wszystko się zakończy – odezwał się spokojnie Dobrociech. Zdjął z pleców tarczę, po czym nałożył ją na lewe ramię. Następnie sięgnął po swój miecz i wykonał zamaszysty ruch. Obok niego ustawili się Radowit oraz Witomir. Oni także chwycili za ostrza. Derwan stanął za nimi. Wyjął łuk, następnie przyłożył jedną ze strzał do cięciwy. Ja stanąłem tuż obok niego. Byłem gotowy do walki.

Spojrzałem na moich kompanów. Pełna zbroja. Lata doświadczeń. Niespotykana wręcz siła. Nadludzka zwinność. I ja... Zwykłe ubranie. Sztylet. I moje buty. Jedyna dobra rzecz, która zawsze była moja – pomyślałem.

Wtem gargulec wzniósł się ponad ziemię, wydał z siebie zajadły dźwięk i ruszył w naszym kierunku. Dobrociech wyszedł nieco przed szereg. Chciał rozprawić się z potworem, gdy ten padł trafiony strzałą wystrzeloną przez Derwana.

– Znowu uratowałem ci życie, przyjacielu – powiedział łucznik, uśmiechając się lekko.

Wielkolud tylko się odwrócił, gdy z lustra w kamieniu wyszło kilkanaście potworów.

– Ale pozostałe zostawiam tobie – dodał Derwan.

– Aaaaaaaa! – krzyknął wielkolud, po czym rzucił się na całą grupę, rozplątując kilku z nich jednym potężnym cięciem. Pozostałe bestie ze strachu rozproszyły się po całej polanie. Radowit i Witomir podbiegli czym prędzej, otaczając potwory z obu stron. Niektóre z nich próbowały wznieść się w powietrze, by zaatakować z góry. Wtedy Derwan strącał je jednym strzałem.

A ja? Szukałem celu w okolicach centrum bitwy, gdy zobaczyłem, jak jeden z gargulców skrada się w krzakach tuż obok. Postanowiłem chronić Derwana, który ze swoim łukiem był bezbronny w walce na krótki dystans. Stałem przez chwilę w bezruchu, z głową zwróconą w stronę kamieni, jednocześnie kątem oka spoglądając jak potwór podchodzi coraz bliżej. Gdy nadeszła okazja, odwróciłem się i powaliłem go na ziemię. Gargulec zawył, upadając. Ze strachu wbijałem sztylet w jego klatkę piersiową, gdzie popadnie, raz za razem. Bestia była silna, machała szponami rozcinając mi skórę na rękach.

– Giń potworze! Gin! – krzyczałem, zadając kolejne ciosy. Potwór tracił swoje siły, aż w końcu całkowicie przestał się ruszać. Przyjrzałem się jego paszczy. Miał duże, podniesione złowrogo brwi, z wielkimi oczodołami, w których były dwie małe,

pozbawione źrenic gałki oczne. Nos jak u byka, lecz o wiele bardziej masywny. Pod nim szeroka szczęką, z małymi zębami oraz dwoma wystającymi na zewnątrz kłami. Dwa rogi na czole dodatkowo podkreślały jego demoniczny charakter.

Jego czerwone oczy zaczęły gasnąć, ustępując czerni. Spojrzałem na ostrze. Nie było na nim żadnych śladów krwi. Zdziwiłem się, zadałem przecież tyle ciosów. Ostrożnie dotknąłem okolic jednej z pozostawionych przez sztylet dziur. Skóra potwora przypominała dobrze zbity popiół. Jednak z żadnej rany nie sączył się płyn.

– Radowicie! – krzyknął Derwan.

Odwrociłem się natychmiast w jego stronę. Ten rzucił łuk na ziemię, wyjął sztylet i rozpoczął bieg w stronę kompana. Niestety jeden z gargulców uderzył w łucznika i powalił go na ziemię. Radowit osaczony przez kilka potworów, ledwo trzymał się na nogach, osłaniając się przed kolejnymi atakami. Spojrzałem na Witomira, ciągle walczył, raz za razem przebijając swoim mieczem kolejne gargulce. Jednak najwięcej potworów zgromadzonych było wokół Dobrociecha. To on atakował najbardziej zaciekle, lecz odnosił też największe rany. Cały był we krwi.

Z determinacją i krzykiem na ustach pobiegłem w stronę Derwana. Chciałem mu pomóc. Rzuciłem się na jednego z gargulców. Przygwoździłem go do ziemi i zadałem kilka ciosów sztyletem.

– Jedna bestia mniej – powiedziałem sam do siebie, gdy potwór przestał się ruszać.

Niestety Derwan nie zdążył wstać na równe nogi. Siedząc, bronił się zaciekle przed kilkoma atakującymi go potworami. Unikając szponów bestii, zadawał szybko kolejne uderzenia swoim sztyletem.

– Ratuj Radowita. Poradzę sobie – krzyknął.

Skierowałem wzrok na Radowita, który właśnie upadł na ziemię po jednym z uderzeń. Ruszyłem do niego najszybciej, jak tylko mogłem, ze sztyletem wyciągniętym przed siebie.

Zostawcie go! – krzyczałem, biegnąc. Potwory rozbiegły się we wszystkie strony. Zobaczyłem, jak mój kompan, wspierając się ręką, próbuje się podnieść, lecz w końcu jego odrapana twarz osuwa się na ziemię. Przyklęknąłem przy nim na chwilę, mając nadzieję, że pomogę mu wstać. Niestety z ust Radowita popłynęła krew, a on sam już nie reagował. Jego zbroja pełna była dziur, które odkrywały głębokie rany.

Widząc, że nie mogę mu już pomóc, wstałem na równe nogi. Chciałem ruszyć z pomocą łucznikowi. Niestety trzy gargulce zaczęły się skradać z powrotem w moją stronę, jak kot, który szykuje się do ataku. Wiedziałem, że muszę zachować maksymalne skupienie, jeśli nie chcę skończyć jak mój kompan. Musiałem zaatakować pierwszy.

Rzuciłem się na jednego z nich, zadając mu skutecznie cios, by następnie zrobić wymach w powietrzu w stronę kolejnych

Wojciech Horzowski

dwóch potworów. To miało je odstraszyć i zniechęcić do ataku. Udało się. Potwory cofnęły się nieco. Szybko więc wstałem, gotowy na dalszą walkę. Te patrzyły zaciekle, wydając z siebie nieznośne piski. Zaczęły osaczać mnie z dwóch stron. Musiałem zareagować, zanim im się to uda. Zrobiłem krok z stronę pierwszego, by następnie rzucić się na drugiego potwora, który tego się nie spodziewał. Dźgnąłem go prosto w gardło. Skutecznie. Jednak ostatni potwór rzucił mi się na plecy i zanurzył swoje szpony w moich barkach.

– Aaaaaaaaagh! – krzyknąłem z bólu. Celowo upadłem na plecy, by przegnieść bestię do ziemi. Poczulem, jak jego pazury opuszczają moje ciało. Przeturlałem się na bok i ostrzem dźgnąłem potwora w brzuch. Ten zawarczał głośno. Podniosłem się na kolana, złapałem sztylet w dwie ręce, uniosłem do góry, by zadać ostateczny cios.

Zobaczyłem wtedy, że potwór już się nie bronił. Jakby pogodził się ze śmiercią. Przez chwilę zrobiło mi się go żal.

Boże, idę do ciebie! – usłyszałem krzyk Derwana. Spojrzałem w jego stronę. Klęczał. Nie miał już w rękach broni. Kilka gargulców dźgało go szponami, podczas gdy jeden złapał go za rękę i machając skrzydłami uniósł kilkanaście metrów nad ziemię.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa – krzyczał łucznik, gdy spadał. Uderzył o ziemię z potężną siłą i już się nie poruszył. Wróciłem wzrokiem na mojego przeciwnika i bez wahania odebrałem mu resztki życia.

Wstałem. Dobrociech wykonywał cięcia mieczem na oślep, niemal nikogo już nie trafiając. Bestie atakowały go ze wszystkich stron, aż w końcu wielkolud upadł na kolana. Rzucił tarczę oraz miecz na ziemię. Jego głowa cała była we krwi. Spojrzał wtedy na mnie po raz ostatni, jak gdyby chciał się pożegnać. W tym czasie dwa gargulce podniosły jego miecz i przebiły go nim na wylot od strony pleców.

Dobrociech nie wydał przy tym żadnego wrzasku. Złapał jedną ze swoich run i osunął się na ziemię.

Niespodziewanie na kamieniu z napisem Brama do Perunii runy zaczęły jarzyć się niebieskim kolorem. Witomir ciągle walczył, mimo iż był otoczony przez wielu wrogów. Widocznie zbroja płytowa dobrze go chroniła. Zacisnąłem pięść na rękojeści sztyletu. Zacząłem biec w jego stronę. Będąc już naprawdę blisko, dźgnąłem w głowę gargulca, który go atakował. Wróg od razu upadł na ziemię.

– Dobrze, że jesteś. Pilnuj moich tyłów – krzyknął potwornie zmęczony.

Ustawiłem się za jego plecami. Byliśmy otoczeni. Wszystkie potwory skupiły się wyłącznie na nas. Obracaliśmy się tak razem przez kilka minut, nie dopuszczając, by ktokolwiek się do nas zbliżył.

W końcu z pulsującego na niebiesko kamienia dobiegł błysk. Witomir zasłonił twarz ramieniem. Krzyknął, że nic nie widzi, lecz ciągle wymachiwał mieczem. Nie zauważył, że bestie wstrzymały atak. Stały zamroczone, patrząc na kamień Peruna. Mnie jednak

nie oślepiło. Zobaczyłem, jak pojawia się na nim lustro z fragmentem nowego świata. Zupełnie innym niż ten, z którego wyszły gargulce. Piękne, błękitne niebo, niesamowicie zielona trawa. Biła stamtąd aura spokoju. Podszedłem kilka kroków do przodu.

Wtedy z lustra wyleciała sowa. Zrobiła w powietrzu dwa okręgi, po czym zaczęła swobodnie opadać, by w końcu w białym blasku zmienić się w starca. Starca, który uratował Witomira.

Gargulce, widząc to, zaczęły biegać w popłochu, krzycząc przy tym piskliwie. Mędrzec wymachiwał swoją laską. Wykrzykiwał przy tym inkantacje w nieznanym mi języku. Kryształ na jej końcu świecił się z każdą sekundą coraz mocniej, aż nastąpił kolejny, tym razem błękitny błysk. Bestie wydawały przeraźliwe krzyki. Na ich ciałach pojawiły się szczeliny, z których wypadał jarzący się popiół. Potwory smażyły się żywcem, aż w końcu zmieniły się w pył. I zapadła cisza. Starzec spojrzał podejrzliwie w moim kierunku. Jego wzrok mnie przeraził.

– Witomir! – pomyślałem i odwróciłem się do niego.

– Panie, czy wszystko w porządku? – zapytałem.

– Nie wiem Domaradzie. Chyba tak. Ten błysk mnie oślepił. Co to było?

– To ten starzec, który cię uleczył.

– Dziękuję ci, Domaradzie. Gdyby nie ty, nie dożyłbym pewnie jęgo powrotu. Gdzie pozostali? – zapytał Witomir,

rozglądając się dookoła. Niestety w ferworze walki nie zobaczył, jak umierają nasi towarzysze.

– Panie, oni... nie żyją – powiedziałem. Dopiero gdy ujrzałem smutną twarz Witomira, dotarła do mnie waga tych słów. Nigdy wcześniej go takiego nie widziałem.

– Radowit, przyjacielu – powiedział cicho, jakby bezpośrednio do niego.

– Panie. Byłem świadkiem tego, jak odeszli. Walczyli bardzo dzielnie, jak prawdziwi wojownicy. Nie zasłużyli, by tu dziś zginąć, lecz zginęli w chwale – dodałem.

– Dziękuję ci. Twoje słowa wiele dla mnie znaczą. A teraz chodźmy do starca. Musi nam wyjaśnić, co tu się właściwie stało.

Obaj ruszyliśmy w jego stronę. Witomir zaczął krzyżeć:

– Starcze! Żądam wyjaśnień! Co to za kamienie? I co to za potwory?

– Potem wszystko wam powiem. Teraz muszę zablokować przejście do wymiaru Welesa. Odsuńcie się! Zamknijcie oczy, jeśli nie chcecie zostać tymczasowo oślepieni – odpowiedział mędrzec.

Nie zrobiłem tego, wiedząc, że magiczne błyski na mnie nie działają. Witomir jednak posłusznie wykonał rozkaz. Starzec stanął przed czerwonym kamieniem. Uniósł kostur do góry i wykrzychał zaklęcie. Pojawił się błękitny błysk, gdy z niebieskiego kryształu na jej końcu wystrzelił promień, trafiając prosto w lustro znajdujące się na czerwonym kamieniu.

Na twarzy czarownika widać było ogromny wysiłek. Jakby przykazywana energia pochodziła wprost z jego wnętrza. Lustro, które pokazywało inny świat, zmniejszało się z każdą chwilą. W końcu promień zniknął. Starzec wbił kostur w ziemię, po czym odwrócił się w naszą stronę.

– Udało się? – zapytałem.

– Tak.

– Co się udało? – zapytał Witomir, rozglądając się dookoła.

– Czyżby nie widział wejść do tamtych światów – pomyślałem.

Razem podeszliśmy do starca.

– Teraz wszystko wam opowiem... – zaczął mówić mędrzec.

Niestety, tuż przed całkowitym zniknięciem lustra, wyleciała z niego strzała i trafiła go prosto w korpus. Czarodziej zawył z bólu. Złapaliśmy go, gdy upadał i położyliśmy delikatnie na ziemi. Przejście do innego wymiaru zamknęło się w tym samym momencie. Ukłękliśmy przy rannym. Niestety strzała utkwiała w jego klatce piersiowej, a na ubraniu pojawiła się krew.

– Zaraz ci pomożemy. Musimy go stąd szybko zabrać – powiedział Witomir.

Mnie bardziej jednak fascynował świat, z którego przybył starzec. Ten, który ciągle był widoczny w lustrze. Spojrzałem na niego ponownie.

– Domarad. Domarad! – krzyknął Witomir.

– Tak, panie – odpowiedziałem i ponownie skupiłem swoją uwagę na rannym.

– Trzeba mu pomóc. Co możemy zrobić? Gdzie jest twój dom? Mogę iść po miksturę, którą mnie wczoraj uleczyłeś – powiedział Witomir.

– Ta mikstura nie pomoże w przypadku strzały z Wymiaru Welesa. Moje ciało zostało już zatrute. Nie można mi pomóc.

– Co to za kraina? – zapytałem, spoglądając na kamień.

– To Perunia. Świat stworzony przez Peruna, w którym znajduje się Święte Drzewo. Poprzysięgłem je chronić – odpowiedział starzec.

Witomir spojrzał na mnie, potem na kamień, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Jest w tobie coś wyjątkowego, chłopcze. Opierasz się magii. Widzisz więcej niż inni.

– To stamtąd pochodzisz?

– Nie. Urodziłem się setki lat temu, tysiące kilometrów na wschód od miejsca, w którym się znajdujemy. Zostałem tu wysłany, by chronić wejścia do Perunii.

– A te potwory? – zapytał dowódca.

– Pochodzą ze świata, w którym panuje zło. Są tam wierni wyznawcy Welesa. Ich celem jest spalenie Świętego Drzewa. Raz w

roku otwierają bramę do naszego świata i próbują dostać się do Perunii. Na szczęście tym razem im się nie udało – powiedział starzec, kaszląc przy tym krwią, która zaczęła spływać po jego policzkach.

– Ale to jeszcze nie koniec, oni wrócą, prędzej czy później. Obiecuj mi, że będziesz chronił to miejsce. Musisz je chronić za wszelką cenę! – próbował krzyczeć starzec.

– Obiecuję.

Witomir spojrzał na mnie. Nie widział portalu w kamieniu.

– A ja zrobię wszystko, żeby mu pomóc – dodał dowódca.

– Chronicie Święte Drzewo – wyszeptał mędrzec, po czym stracił oddech, a jego głowa opadła na ziemię. Spojrzeliśmy na siebie z Witomirem.

Podnieśliśmy się. Witomir wziął ciało starca. Ja podniosłem jego kostur.

– Chodź za mną, panie. Pokażę ci świat, który jest przed tobą ukryty – powiedziałem, po czym przeszliśmy przez lustro do Perunii.

Jeszcze tego samego dnia wróciliśmy pochować naszych zmarłych kompanów. W kolejnych latach założyliśmy osadę, by chronić portale ukryte w kamieniach. Nadaliśmy jej nazwę Pińców, na cześć naszej drużyny i starca, który w ostatnich chwilach życia zmienił się w tego majestatycznego ptaka.

Przez kolejne setki lat odchodzili i dołączali do nas nowi obrońcy. Wybudowaliśmy też zamek, gdzie ukryliśmy Kamień Welesa, aż w końcu... w końcu poznałem **Weronikę**.

[ciąg dalszy w grze Five Owls]